Sprawozdanie z obozu dla trędowatych

w Tichileti koło Tulczy (Rumunia)

Pewnego dnia dowiedziałem się o obozie dla trędowatych w okolicy Morza Czarnego w miejscowości o nazwie Tichileşti.

Powstało wtedy w mym sercu pragnienie, aby odwiedzić tych tak bardzo doświadczonych ludzi, między którymi, jak mi doniesiono, znajdują się dzieci Boże.

Nie było jednak rzeczą łatwą uzyskanie pozwolenia na takie odwiedziny. Jednak nie zniechęcałem się i ponawiałem starania. I wreszcie nadszedł czas, w którym otrzymałem urzędowe pozwolenie odwiedzenia tych chorych. Wizyta miała trwać kilka godzin. Przystąpiłem do podróży z jednym bratem, który konnym wozem zawiózł mnie do owej odległej wioski trędowatych. Po drodze mijaliśmy wiele pięknych okolic, aż w końcu z daleka ujrzeliśmy na niewielkim wzniesieniu ową miejscowość. W dużej odległości od tego miejsca nie było żadnych zabudowań, a cały teren otoczony był drutem kolczastym, zaś sama ta okolica wywierała takie wrażenie, że nawet ptaki, jak się zdawało, omijały to miejsce.

Podjechaliśmy do czarnej bramy wjazdowej, nad którą było napisane ostrzeżenie władz przed wejściem na teren obozu, w którym mieszkało stu pięćdziesięciu trędowatych.

Jeśli jakiś chory został przywieziony do tego miejsca, wszelka łączność ze światem zewnętrznym i rodziną była na zawsze odcięta. W obozie znajdują się cztery wielkie budowle. Wszedłem do pierwszego budynku, gdzie mieszkają tylko lekarze i personel zaopatrujący. Tu musiałem okazać swoje zezwolenie na wejście do obozu.

Dyrektor obozu poinformował mnie, w jaki sposób mogę się zbliżać do chorych. Ten lekarz udzielił mi nieco informacji na temat tej strasznej choroby i jej rodzajów.

Jeden rodzaj objawia się w ten sposób, że najpierw tworzy się wrzód wielkości orzecha laskowego, który się powiększa, aż w końcu pęka i wydziela się okropny zapach, a dana część ciała psuje się powoli i ostatecznie odpada. (…) W innym rodzaju występują małe białe plamki na ciele, które się potem przekształcają w zgniliznę. Początkowo chory znosi jeszcze dosyć cierpliwie swoje cierpienie, potem jednak w miarę rozwoju choroby odpadają fragmenty ciała, tak że miejscami pozostają gołe kości.

W jeszcze innym rodzaju zostają zaatakowane nerwy i jest to całkiem powolny proces. Najwięcej cierpi na tym głowa (…).

Wielu lekarzy, którzy próbowali leczyć tę chorobę, padło jej ofiarą. Dyrektor tego zakładu zwrócił mi uwagę, że mogę się tylko zbliżyć na odległość czterech metrów do chorych. Zapytałem go wtedy, czy mógłbym osobiście podać list do ręki jednemu z tych chorych braci, naturalnie na swoją odpowiedzialność.

Potem udaliśmy się do drugiego budynku, gdzie właśnie była śpiewana pieśń. Oprowadzający wyjaśnił mi, że jest to dom modlitwy, który zbudowali sami chorzy, a teraz zakończyło się zgromadzenie. Po niedługim czasie z tej kaplicy zaczęli wychodzić zgromadzeni chorzy, ja zaś musiałem się bardzo starać opanować i nie wybuchnąć płaczem wobec widoku, jaki miałem przed oczami. U większości chorych brak było ręki albo nogi, albo innych członków ciała, albo oczu.

Jeden z chorych braci podszedł bliżej, a inni bracia chorzy otaczali mnie ze wszystkich stron z ciekawością, mniemając, że jakiś nowy chory został tu przywieziony. Dla nich jest to bowiem wielkie wydarzenie, kiedy ktoś nowy przybywa. Kiedy jednak dowiedzieli się, że ja jestem tylko odwiedzającym, wielki smutek ukazał się na ich twarzach.

Potem podałem list bratu Durin, choremu, który im służył Słowem Bożym. Podałem mu go, trzymając za jeden koniec, a on odebrał, chwytając za drugi. Nie podałem mu jednak ręki, mimo to czułem się szczęśliwy. Pytałem go też potem, jak tu w obozie przebiega życie duchowe. Przedtem pytałem dyrektora, co dobrego i pożytecznego w tym obozie chorych sprawiła Ewangelia. Odpowiedział: Najwybitniejsi specjaliści światowi nie mogliby tak pomóc tym chorym, jak pomogła im Ewangelia.

Brat Durin opowiadał mi, że chorzy sami zbudowali ten dom modlitwy w ciągu dziesięciu lat. W tym też czasie spośród 150 chorych pięćdziesięciu znalazło Pana i zbawienie. Trzeba się dziwić, że ci ludzie mogli wykonać tą pracę, pomimo tego, że większości z nich brakowało kończyn.

Kiedy wszedłem do kaplicy, na jednej ze ścian zobaczyłem napis: *„Wszystko mogę w Chrystusie, który mnie posila”* – Filip. 4:13. Zaś na drugiej ścianie: *„My głosimy Chrystusa ukrzyżowanego”* – 1 Kor. 1:23.

Na moje pytanie, jak przebiegają ich zgromadzenia, brat Durin opowiedział mi, jak wielkich rzeczy dokonał

na nim Pan i również na innych chorych, a ich pragnieniem jest złożyć o tym świadectwo. Dlatego kazaniem ich jest jedynie Chrystus. Przewodnik szepnął mi do ucha, abym zapytał brata Durina, czy chór nie zaśpiewałby jakiejś pieśni

Rzeczywiście wszyscy chorzy stawili się, a brat Durin, który miał tylko jedna rękę i połowę twarzy, podał pieśń „Wielki Boże, wielbimy cię”.

Byłem wielce zdziwiony, że ci tak ciężko doświadczeni ludzie mogli tak śpiewać. Potem zaśpiewano jeszcze: „Śpiewajcie ku chwale Jezusowi”.

Te dwie pieśni wywarły w mej duszy głębokie wrażenie i wydawało się, że niebo śpiewało z tymi chorymi, niebiański blask odbijał się na ich twarzach, a odblask Bożej miłości promieniował od tych śpiewających. Nie posiadali żadnych instrumentów, lecz obecność Tego, o którym śpiewali, była pośród nich i tych momentów nigdy nie zapomnę.

Zapytałem brata Durina, czy ma jakiś kontakt ze światem zewnętrznym, czy otrzymują listy albo czasopisma, lecz jego odpowiedź była przepełniona smutkiem. Powiedział: „Raczej byłoby lepiej, gdybyśmy od was nie otrzymywali żadnych listów, one bowiem przynoszą nam jedynie smutek i zmartwienie, gdyż z nich dowiadujemy się, że na waszych zgromadzeniach podczas głoszenia Słowa Bożego, wielu śpi, a wielu jest opieszałych w odwiedzaniu zgromadzeń, opuszczając je częstokroć. Powiedzcie mi wy, którzy jesteście zdrowi i żyjecie tak wolno, czy tak ospali i w letniości oczekujecie swego Pana i Zbawiciela? Czy w takiej opieszałości oczekujecie Tego, który za was zmarł na Golgocie? Od tego czasu, kiedy dowiedzieliśmy się o tym, postanowiliśmy raz w tygodniu zbierać się na modlitwy, aby się za wami modlić. Patrząc duchowo, jesteście poważnie chorzy, o wiele więcej trędowaci niż my, dlatego modlimy się za wami”.

Słysząc te słowa, bardzo się wstydziłem i pytam Was, drodzy Bracia i Siostry, jak często modlicie się za tymi, którzy są w tak ciężkich i wielkich utrapieniach?

Potem brat Durin poszedł ze mną na cmentarz w tej miejscowości. Tam zwróciło moją szczególną uwagę osiem nagrobków z nazwiskami zmarłych. Opowiedziano mi, że tu leżą lekarze, którzy próbowali ratować życie chorych, szukali jakiegoś środka leczniczego, lecz sami oddali życie, stając się ofiarami tej strasznej choroby. Leżał tam też były dyrektor tego obozu, który czynił doświadczenia na sobie samym. Pragnął on znaleźć szczepionkę przeciwko trądowi, jednak bez rezultatu i w końcu, zarażony, umarł. Opodal niego leżał lekarz dwudziestoczteroletni, który, jak mówił brat Durin, „zmarł między nami i za nas”.

Ze łzami w oczach stałem nad tymi grobami i jakbym słyszał słowa Pana Jezusa: *„Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”* – Jan 16:13.

Stojąc tam, zadawałem sobie pytanie: Czy byłbyś gotów dać życie swoje za innych?

Potem poszliśmy do budynku, gdzie leżeli tacy chorzy, którzy nie byli w stanie chodzić. Przy jednym łóżku pielęgniarz odkrył nieco pościel chorej, a moim oczom ukazał się straszliwy widok żywego kościotrupa. Ręce i nogi były straszliwie wysuszone, a oczy jej dawno już wypłynęły. Od trzech lat ta chora mogła być karmiona już tylko mlekiem i wodą. Pielęgniarz powiedział mi, że to jest jedna z naszych sióstr. Po tych słowach straciłem równowagę i o mało nie upadłem, tracąc przytomność.

Jakże my zdrowi szemrzemy, kiedy jedzenie nie jest według naszego smaku lub jakieś trudności są do pokonania w naszym życiu. Ta siostra znosiła swój ciężar bez szemrania, a leży tak już od trzech lat i pozostaje cierpliwa w pokoju naszego Pana Jezusa. Powstrzymując się od płaczu, z wielkim wysiłkiem rzekłem jej parę słów pocieszenia. Potem zapytałem, czy ona w swym wielkim cierpieniu wie jeszcze, kim jest Pan Jezus, na co ona rzekła z całą pewnością: Ja wiem, że jest moim osobistym Zbawicielem i wkrótce zabierze mnie do siebie, wtedy będę miała ręce, nogi i oczy i będę Go oglądać na wieczność. Tak jak jestem pewna, że Ten, który mnie teraz w moim cierpieniu widzi i posila, pojednał mnie z Bogiem na Golgocie.

Brat Durin powiedział mi, że ta siostra jest tu od 24 lat; kiedy tu przybyła była jeszcze młoda, miała dobrego męża, czworo dzieci, rodziców, braci i siostry, których musiała opuścić na zawsze.

Większość z tutejszych wierzących chorych zostało przez tę siostrę przyprowadzonych do Pana. W pierwszym okresie, kiedy tu przybyła, musiała znosić wiele zniewag, urągań i pośmiewisk od niewierzących, oni ją bowiem nienawidzili i czynili jej wiele złego. Trędowaci są bowiem na ogół bardzo surowi i dzicy. Ona znosiła to jednak dla Pana, który wręczy jej kiedyś błyszczącą koronę. Brat Durin przybył tu też przed dwudziestoma trzema laty, jako młody, silny mężczyzna. Choroba ta trwa około 30 lat.

Według orzeczenia lekarzy ta chora siostra może jeszcze przeżyć w tym stanie około jednego miesiąca. Kiedy upłynęło tych siedem godzin moich odwiedzin, miałem pożegnać moich chorych braci i chore siostry. Cały obóz towarzyszył mi aż do ostatniego momentu wyjścia przez czarną bramę. Ci chorzy, którzy jeszcze mieli ręce, powiewali swoimi chusteczkami, śpiewając pieśń: „Niechaj Bóg będzie z wami, aż się znowu zobaczymy”.

W powrotnej drodze modliłem się: Panie, oby moja miłość do Ciebie i do Twoich pozostała zawsze gorąca, obym nie stał się trędowatym w duchowym sensie, przez rzeczy tego świata.

(Sz. S. – relacja powstała ok. 1965 r.)

Redakcja
R-
„Straż”